Książę tułacz

Ks. Józef Poniatowski przed Pałacem prezydenckim na Krakowskim Przedmieściu – Warszawa, fot. Stefan Sapeta.

Zdzisław Najder

Kiedy chcę przedstawić osobowość księcia Józefa Poniatowskiego, uświadamiam sobie, że nasuwające się określenia stanowią zbiór (nawet zbiorowisko) składników występujących zwykle osobno, albo nawet przeciwstawnych. Urodzony w Wiedniu z matki Austriaczki (ze starej czeskiej rodziny Kinských) zawsze tylko za Polaka się uważał i najlepiej czuł w Polsce, zwłaszcza w Warszawie – choć łatwiej mu było flirtować i pisać po francusku. Arystokrata z pochodzenia (babka Czartoryska), związał się z rewolucyjną Francją i Napoleonem; wśród jego marszałków był jedynym cudzoziemcem i jedynym wysoko urodzonym. Krążyły nie bezpodstawne legendy o

jego miłosnych podbojach, ale dla tego bawidamka naturalnym zachowaniem było włożyć lulkę w zęby, wziąć karabin z bagnetem od idącego obok żołnierza i poprowadzić batalion piechoty wprost na wroga. Uczestnik kawalerskich szaleństw, jak przejazd nago powozem przez Warszawę, był sumiennym i skutecznym organizatorem wojska, potrafił je tworzyć od podstaw. Z poglądami społecznymi się nie obnosił; nie poczuwał się w tej dziedzinie do roli przywódczej; ale że je miał, i to całkiem radykalne, świadczy jego gniewny list wodza cofającej się przed przygniatającą rosyjską przewagą armii do Stanisława Augusta z lipca 1792:

> *Gdybyś WKM na początku tej kampanii… był poruszył kraj cały, siadając na koń ze szlachtą, uzbrajając miasta i dając wolność chłopom, albobyśmy zginęli z honorem, albo Polska byłaby mocarstwem.*

Na uwolnienie chłopów z poddaństwa nie potrafił się zdobyć rząd Powstania Listopadowego czterdzieści lat później! Ojciec księcia Józefa był zadomowiony na cesarskim dworze Habsburgów, on sam związał się od wczesnej młodości z wojskiem, zwłaszcza kawalerią. Zajmował różne wysokie stanowiska i był jako dowódca uwielbiany przez podwładnych, ale zawsze go kusiła walka w pierwszej linii, zwykle z narażeniem życia, wielokrotnie przypłacana ranami.

Uwielbiał go, wychowywał z oddali i zaopatrywał (dobrowolnie, nigdy nie proszony) w fundusze stryj-król. Ma rację Szymon Askenazy twierdząc, że Stanisław August, człowiek o niewątpliwie znakomitym umyśle i smaku, podziwiał w bratanku cechy, których sam nie posiadał: przede wszystkim męstwo, to znaczy odwagę połączoną z wytrwałością oraz twarde poczucie honoru. I dawał mu z siebie to, co miał najlepszego. Zadbał z daleka – starając się o dobrych pedagogów i bardzo często pisując do ukochanego „Pepi” z dokładnymi instrukcjami – o solidne wykształcenie młodzieńca, marząc po cichu (ale pozwalając się tego domyśleć) o sukcesji na warszawskim tronie. Książę Józef był stryjowi wdzięczny, doceniał w pełni jego troskliwość, szanował osobę i majestat, starał się być jak najbardziej lojalny, nigdy nie posunął się do publicznego potępienia – ale od wiosny 1792 coraz częściej i coraz silniej protestował przeciw jego ustępliwości wobec Rosji i Konfederacji Targowickiej. W lipcu, na wieść o kapitulacji króla, pisał do księżnej Izabeli Czartoryskiej (po francusku, cytuję przekład Askenazego):

> *na wszystko byłem przygotowany – lecz nie na podobną nikczemność. … Raczej należało bić się do śmierci, niż oddychać hańbą.*

A kiedy sam Stanisław August potwierdził w liście swoje przystąpienie do Targowicy, odpisał:

> *Wielki Boże, czemu doczekałem się tego dnia nieszczęśliwego! Mógłbyś […] Najjaśniejszy Panie, wybrać raczej chwalebny zgon!*

Zrobił to jednak w prywatnym liście; odmówił też, po wahaniach, udziału w niespełnionych planach porwania króla przez zwolenników reformy Rzeczypospolitej. Zachowywał się zawsze jednoznacznie: uważał, że Rosja jest dla Polski największym zagrożeniem i do śmierci się jej przeciwstawiał; Napoleon był więc jedynym naturalnym sprzymierzeńcem. Odmówił naleganiom stryja, by do niego przyjechał, do Grodna, a później do Petersburga. Wziął, choć zaskoczony za granicą, udział w Insurekcji Kościuszkowskiej. Bliskie pokrewieństwo z upadającym królem spowodowało jednak, że lata 1793-1809 spędził oblewany pomyjami nieufności, kalumnii i podejrzeń. Fakt, że po śmierci Stanisława Augusta stał się jego jedynym spadkobiercą – w praktyce oznaczało to lata borykania się z wierzycielami i władzami zaborczymi – jeszcze głębiej go pogrążał.

Wysoka pozycja społeczna księcia Józefa budziła zazdrość. Jego własna prostolinijność i wielkoduszność sprawiały, że był przez zawistnych niszczony jak zwierzę innego gatunku. Podejrzenia i oskarżenia czyniono publicznie; o uczciwości księcia i jego niezłomnej wierności Ojczyźnie świadczą decyzje i deklaracje, które składał prywatnie – jak w przypadku listów do króla. Żadne zarzuty dwulicowości, udziału w intrygach, chęci własnej kariery, tchórzostwa i zdrady nie znajdują potwierdzenia w dokumentach. Podejrzewany był niemal do końca i wszyscy o tym wiedzieli. Kuszony był również do końca, potajemnie, wielokrotnie, przez wszystkie trzy stolice rozbiorcze, które chciały kupić jego poparcie obietnicami wysokich stanowisk. W 1813 robiły to zgodnie Berlin, Petersburg i Wiedeń; ale dopiero wiele lat po śmierci księcia Askenazy i inni historycy znaleźli dokumenty świadczące, że Poniatowski, dotrzymując sekretu, zawsze i jednoznacznie odmawiał. Prawie do ostatniej chwili nie był go całkiem pewien Napoleon (cóż, sądził go według siebie…)

– ale potem, już na św. Helenie, pierwszy przyznał księciu miarę nie tylko marszałkowską ale i królewską.

Książę Józef Poniatowski w bitwie pod Lipskiem. Obraz przypisywany Januaremu Suchodolskiemu, fot. PAP.

Pisał liczne listy; wyłania się z nich, obraz człowieka raczej skromnego, bez cienia snobizmu, prawdomównego, świadomego własnych niedoskonałości, uczciwego, gotowego na wszelkie ofiary i wyrzeczenia w imię honoru osobistego i narodowego.

Użyłem słowa „honor”. Współcześni historycy polscy często traktują to pojęcie jak parzący kartofel, wyjęty z polnego ogniska. Przypisanie komuś, że się honorem kierował, wymaga usprawiedliwienia, jak gdyby zachowanie takie było nieco wstydliwą, sentymentalną czy egocentryczną słabością. Może się czasem wydawać, że tylko niemieccy członkowie spisku von Stauffenberga, którzy sami przyznawali się do zdrady stanu (i zawisali na rzeźnickich hakach), by osłonić innych, nie muszą się ze swojego poczucia honoru tłumaczyć. Tak więc i pułkownik-minister Józef Beck,

który podjął racjonalną decyzję odrzucenia obu totalitaryzmów, powinien był się powstrzymać od wypowiedzenia tego żenującego dla polityka słowa. Podobny kłopot z księciem Józefem. Zdarzyło mu się parę razy połączyć dwa porządki: wyboru drogi najlepszej, a zwykle po prostu najmniej dla Polaków historycznie szkodliwej – i drogi honoru, który z konsekwencjami praktycznymi się nie liczy. Połączyć odwagę Rolanda z mądrością równie przecież honorowego Oliwiera. Za każdym razem pociągało to za sobą osobiste i śmiertelne ryzyko; własnego bezpieczeństwa, o zaszczytach i pieniądzach nie mówiąc, nigdy pod uwagę nie brał. I zdobywał skarb w życiu zbiorowym bezcenny: zaufanie.

Książę Józef nie był zazdrosny; na przykład, mimo wszystkich różnic między nimi, zawsze popierał w wojsku Kościuszkę. Był dobrym (choć skłonnym do zaniedbań w kwatermistrzostwa) organizatorem militarnym. Kochał wojsko; jego pobłażliwość dla żołnierzy w ich poza-frontowym życiu irytowała nawet Francuzów. Chwalić się nie lubił; pisząc raporty z frontu wyróżniał towarzyszy broni, nigdy siebie. O jego upartej odwadze wiemy od świadków, bo sam o tym nigdy nie wspominał. Ani o tym, że potrafił podrywać żołnierzy do boju, przełamywać ich strach i niepewność w wolę walki i w ten sposób odwracać przebieg bitew. Jak to zwięźle ujął Fredro w swoim zapomnianym arcydziele, jakim jest *Trzy po trzy*:

> *Na dzielnym koniu, dzielny jeździec, nieugiętego męstwa, świetnego honoru, pięknej postaci, wąs czarny, czapka na bakier, był ideałem polskiego wodza. Gdyby był nad brzegiem piekła krzyknął: za mną dzieci! w piekło skoczono by za nim.*

Był wybitnym dowódcą; jeśli błądził, to zwykle w niedocenianiu własnych możliwości taktycznych; był znacznie bardziej odważny, niż pewny siebie. Przed potwarzami nie umiał i zwykle nie chciał się bronić. Dopiero bitwa pod Raszynem, która tylko dzięki niemu nie zakończyła się bezładnym odwrotem, ukazała go narodowi w jednoznacznym świetle i politycznym i moralnym. Stryj-król już nie żył, a Książę stanął do boju o Warszawę przeciwko dawnym austriackim towarzyszom broni. I tak wytrwał przez cztery lata, w nieustannej pracy i walce. Pod Lipskiem, w obliczu klęski Napoleona – który jedyny mógł pomóc w zachowaniu niepodległego wojska polskiego – powtarzał: *Il fautmourir en brave*, „trzeba umrzeć mężnie”.

W pamięci i wyobraźni zbiorowej narodu książę Józef utrwalił się w dwu postaciach:

skaczącego do Elstery ułana i spiżowego wodza na koniu.

Zginął śmiertelnie raniony (zapewne przez cofających się Francuzów…) w błotnych rozlewiskach rzeki. Przez pokolenia dziesiątki tysięcy Polaków oglądało obrazy jego śmierci – świadome daremności tej bohaterskiej ofiary. Chwila była wzniosła, gest teatralny – i bezowocny. Wizerunki budziły podziw i szacunek – ale nie nadzieję; pewnie dlatego cenzura oleodruków nie tępiła. Z perspektywy lat można pomyśleć: nie wiele zaznał szczęścia w życiu, ale zginął w odpowiedniej chwili. Jakże marny byłby jego los, gdyby przeżył! Jeszcze jednego uczestnika emigracyjnych złudzeń, swarów i rozczarowań? Poddanego Austrii, Prus albo Rosji?

Ledwie przez Thornswaldena wykonany pomnik księcia stał się – zamiast niego! – tułaczem. Pierwszy odlew, przekazanygenerał gubernatorowi Paskiewiczowi, do 1898 przeleżał w magazynach twierdzy Modlin, a potem do 1921 ozdabiał ogrody Paskiewiczów pod Homlem. Rzeźbiarz przedstawił Poniatowskiego na wzór Marka Aureliusza z rzymskiego Kapitolu. Książę ma twarz człowieka o skupionej uwadze, w prawej dłoni trzyma poziomo krótki miecz, w pozycji wyrażającej gotowość do służby. Spiżowy posąg postaci tak dramatycznie złożonej, której prawdziwą wielkość poznać można dopiero w zbliżeniu, pod lupą badaczy, jest całkiem jednolity, nie ma plam, pęknięć czy rysów. Jest jak jego wzór: książę Józef, spoistym stopem, choć z tylu składników złożonym.

Ponad wiek lat później, już w Niepodległej, mówił o nim Piłsudski (nieskory do pochwał):

> *…zostało wielkie imię, któremu obecnie pomniki stawiają, czyniąc go ojcem honoru i ojcem ojczyzny.*

Oto wódz Polaków, którzy chcieli się wybić na niepodległość – na pewno najświetniejszy przez całe 123 lata porozbiorowe. Czy nie przed JEGO pomnikiem powinniśmy zaczynać pochody do Belwederu? Dwaj panowie JP są siebie godni; łączyło ich znacznie więcej, niż inicjały i wąsy.